

Taka sobie

Upór obrócił się przeciwko tym ludziom. Przybysza z miasta musi to dziwić, jak obstarą przy swoim, wbrew własnym, najżywniejszym interesom. Ziemię majątkową brali wszyscy razem, ale potem ich drogi się rozszły. Część poszła na wspólne gospodarowanie, inni zostali przy swoich działkach.

Założenie w Łaszczynie* spółdzielni stało się czymś w rodzaju historycznej daty. Od niej nastąpiły nowe stosunki produkcyjne, od tej pory zaczęły się kształtować we wsi nowe stosunki społeczne. Gdyby pokusić się o zsumowanie aktywów i pasywów łaszczyńskich rolników — bilans bez wątpienia wypadłby dodatnio dla członków kolektywu. I to chyba pod każdym względem: dochodów na rodzinę, ilości maszyn, a przede wszystkim wkładanego w gospodarkę trudu. Ponoć poziom życia ludzi mierzy się ilością czasu, stojącego do ich dyspozycji. „Indywidualni” nie mają go prawie wcale. I dlatego przybysz z miasta dziwi się temu uporowi, z którym sąsiaduje zdrowa dążeńność spółdzielców do układania życia w nowy sposób.

Są tacy w Łaszczynie, co do tej pory nie dali rady się pobudować, a ich niebogaty inwentarz kątem w księdza proboszcza stajni przy plebanii stoi. W tym czasie „ci z kołchozu”, nieraz pod gestem obstrzałem wrogiej plotki, dźwigali swój nowy dom. Diabło dużo czasu trzeba było na to i zawzięte roboty, by w fachowych kołach rolnych stołecznego Poznania ukształtować się mogła opinia:

— Łaszczyn? Cóż, taka sobie spółdzielnia.

Bo Łaszczyn nie jest primadonną spółdzielczości produkcyjnej, nie jest modny, jak Gorzyce lub Tarnowo. Właśnie: Łaszczyn to przeciętna spółdzielnia. Ale pozbierała na primadonnę i „takie sobie” jest w gospodarce równie zwodniczy, jak w polityce. Stało się niejako regułą wygasanie aureoli wokół gwiazd jednego sezonu. Primadonny tracą sławę, a „przeciętniaki” produkują. W rolnictwie to one właśnie, gospodarstwa przeciętne, a nie rekordzisty, decydują o rozmiarach dostarczanej masy towarowej.

Lubicie się wałęsać, tak trochę bez celu, ulicami nowo poznanej wioski? Ten nawyk towarzyszy człowiekowi nie tylko w wiejskich wędrowniach. Ma swój sens myślowy nie w obrębie gospodarskich zabudowań, zagładanie niejako za kulisami pegeerowskiej, albo spółdzielczej sceny.

Spółdzielnia łaszczyńska nie prezentuje się okazale. Nie jest tu też brzydka. Łaszczyn może się podobać, dzięki parkowi, zwartej bryle zabudowań i malowniczości wznieśnieniu z kościołem. Ale do urody potrzeba mu wiele tynków i bardzo wiele zorganizowanego wysiłku nad porządkowaniem otoczenia. Byłby po temu czas, po latach starań o stabilizację, latach, uwiecznionych pomysłami na ogół wynikami.

To się nazywa plan urządzeniowy, ten dokument, w którym nakre-

* Fow. Rawicz

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

CHLEB

Hamowaliśmy bez przerwy. Pisk przeszedł w jazgot, potem szumiał pod mną, fala wytrącanego pędu usiłowała uczipić się miejsca wyprzedzając prawidłą ruchu jednostajnie opóźnionego. Po ciemniaku, podróży, oczekujący na peronie, wyskakiwali cieniami na żółtą ścianę przedziału, wolniano wahadło uderzeń, aż wagon zatrzymał się na przeciw napisu Stargard Szczeciński. Kłós wysiadł, wsiało kilka osób, rzucili z korytarza okiem w moją stronę, przemaszzerowali dalej, przebiegali, pierwszy z brzegu, a więc na końcu, nie nęcił ich, woleli życie bez wstrząsów. Obwołano odjazd, po peronie przekoflował się z powrotem wózek pocztowy. Drgnąłem, otworzyły się drzwi.

— Czy można, są tutaj jeszcze wolne miejsca? Wszystkie miejsca z wyjątkiem mojego były wolne, wiedziałem: kłós cichy i pokornego serca. Skinałem głowę w milczeniu. Weszła babina w kwiciastej chustce, z kobiałką w rękę, w niebieskiej ongi spódnicy i dużych komińskich butach, nieodpowiednich na lato. Taka kobieta z moich stron, z okolic S. Repatriantka?, przesiedlona?, od-

* Fragment „Małej powieści o Trędowatym”.

ślona jest przyszłość łaszczyńskich spółdzielców. Właśnie wspiałem się karkołomnymi schodkami na piętro do domku niedysiejszego oficjalisty dworskiego. Tu, w biurze spółdzielni, czeka mnie dłuższa rozmowa z interesującą trójcą: ZSL-owcem, bezpartyjnym i członkiem partii. Antoni Walczak, członek zarządu, spółdzielca z jedenastoletnim stażem. Księgowy Józef Giejdasz, łaszczyński weteran: — Panie, gdyś my zakładał spółdzielnię w pięćdziesiątym pierwszym... — I Bronisław Jackowski, agronom, jeszcze przed rokiem kierownik spółdzielczej produkcji, dzisiaj — przewodniczący.

Ruchliwość przewodniczącego jest przeciwstawieniem spokoju, reprezentowanego przez starszego Walczaka; inicjatywa i swego rodzaju przebojowość tych obu, spotyka się z zimnym rachunkiem księgowego. A

Z REPORTERSKICH WĘDRÓWEK

zresztą — borykanie się z przeciwnościami wyrobiło w nich poczucie czegoś, co nazwałoby można „realizmem na co dzień”.

Chyba dlatego malują obraz spółdzielni bez fałszywego różu, ostrymi konturami, nie pomijając czerni. Hektarów Łaszczynowi nie brak, jest ich z górą 300. Ale bydlą wydaje się spółdzielcom wciąż za mało, choć zespołowego jest prawie 120 sztuk, a z tym, co na działkach trzymają — równo 155. No tak, lecz plan zakłada więcej. Ze zaczęli z dziesięcioma krowami? Ależ to bar dzo dawno, to chyba tylko księgowy pamięta!

Właściwie mieli na początku same konie, no i parę wozów. Teraz trzy traktory wydają się im nie wy starczać, a do długiej listy nabytków maszynowych, członkowie wciąż zgłaszają pretensje. A to, że ładowacz — dobry, ale przydałby się silosokombajn, a to, że kupienie kombajnu było słuszne, ale sterownik też pioruński potrzebny... Przewodniczący Jackowski tłumaczy, że owszem, ale nie od razu. Powołuje się na inne wydatki, bo przecież stworzyli dobrze wyposażony warsztat mechaniczny, stolarnię, instalacje piorunochronne też kosztowały, a budowa garaży, szop na narzędzia, naprawy zabudowań?

Bydło, to jest łaszczyński problem. Mieli już średnią mleczność 2.700 litrów od krowy, a więc nie najgorszą, ale ostatnio spada. Nie dlatego, że z paszami skąpo; są inne trudności. Obora jest kiepska, a kandydatów na oborowych, choć zarobek dobry, po prostu nie ma.

— Przyjmijmy kogoś spoza spółdzielni, to postanowione — wtrąca przewodniczący. — I bylibyśmy już przyjeźli, gdyby nie to, że ci z zewnątrz nie mieli gdzie mieszkać. Będzie trzeba zakrzętnąć się koło pobudowania mieszkań dla chętnych do pracy u nas.

Wszystko, co mówi Jackowski jest proste i przekonujące. Oni to robią. Rozwiną hodowlę bukatów. Doprowadzą do zmiany dniówek „słonecznych” na normowe. Dokupią maszyn i pobudują potrzebne

wiedząca krewnych na Ziemiach Zachodnich?

Nie wiedziała, co zrobić z pięknym koszem, ozdobionym przy wieku barwnym dwukolorowym wzorem w formie „cygańskiej drogi”. Po chwili wahania postawiła kosz na ławce. Usiadła jak ja: ani pod drzwiami, ani pod oknem, z tym, że mnie szeroko i nie wyprowadzając wygodnie nóg. Schowała je pod siebie, stała gładziła kolana, szukała dla oczu punktu zaczeplenia, bała się dotknąć plecami oparcia. Moja twarz z zajęciem warg nie interesowała jej, obróciła punkt nad moją głowę (czy była tam jaka fotografia — dotąd nie wiedziałem), ale nęcające sąsiedztwo cudzego ciała wyraźnie ją zenuowało, odwróciła więc głowę, rozpoczęła wypatrywać przez okno. Nie mogłem jej w tym oczywiście przeszkodzić, choć nie byłam rad, wystawiony znowu na pokusę wyglądania poza obręb przedziału. Guzłowatymi palcami rozwiązała pod brodą chustę, rozłożyła ją na ławce, sięgnęła do kosza, wtedy przyszedł konduktor. Przejrzał bilety, pierwszy raz od wyjazdu z P. Ile minęło czasu od wyjazdu? Zależy jak dla kogo, dla mnie dwadzieścia lat, nawet więcej, musiałbym dobrze policzyć, może to tylko miało jakiś sens: ile minęło lat. Tak, prawdopodobnie więcej: czterdzieści.

Rzadko na tej linii — choć główna, bo wiążąca dwa wojewódzkie miasta — przeprowadzano kontrole. Nie parzyła na urzędnika, wykazywała niepokój naturalny u ludzi prośbich podanych urzędowym czynnościom. Nie pytała o nic, była chyba jednak tutej-

tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 78 7 kwietnia 1963 Rok III

magazyny, nową stodołę, oborę. W Łaszczynie są tradycje rozumnego wydawania pieniędzy. Wiele się tu inwestuje, kupuje, zamienia, a obciążenie hektara ziemi kredytami pozostaje nieduże. Niezbyt efektowne może wygląda tutejsza dniówka: 30 zł i 5 kg zboża...

— ...Ale tych dniówek za to każdy miał u nas sporo, nieraz dwie na dzień — uzupełnia księgowy. — Dochody więc były nie gorsze niż gdzie indziej.

A poza tym? Dostarczyli ponad plan do państwowych magazynów około 44 tony zboża i 13 grochu. Zamyślają bardziej jeszcze dbać o ułatwienia w codziennej robocie, stąd zakup elektrycznej doja i stawiają na początku listy pilnych sprawunków. Mają też swoje wielkie plany. Może dojdzie do zjednoczenia z sąsiadami przez spółdzielczą miedzę, w Sarnowie i Izbicach. Gdyby to nastąpiło, toż to byłaby zespołowa potęga i sensacja na cały kraj! Łaszczyn przestałby być taką sobie spółdzielnią. A może tak jak jest — jest lepiej?

„Od dłuższego czasu nurtuje mnie problem świadków, którzy przed sądem składają fałszywe zeznania. Oto przykład: ekspedient odmówił sprzedaży wódki nałogowemu alkoholikowi. Ten ostatni opuszczając sklep zapowiedział: „ja panu jeszcze pokażę”. Groźbę spełnił — dobrał sobie trzech kompanów i wspólnie zeznali, że ekspedient sprzedał im wódkę w dniu, w którym obowiązywał zakaz sprzedaży alkoholu. Sprzedawca udowodnił, że tego dnia nie było go w domu, a sklep był zamknięty. Niestety, sąd dał wiary fałszywym świadkom i skazał ekspedienta na 1000 zł grzywny i 2 miesiące aresztu z zawieszeniem. Ludzie mówią, że przed wojną rzadko zdarzały się fałszywe zeznania, bo świadkowie składali przysięgę na krzyż.

Oto fragment z listu naszego Czytelnika p. Jana K.

Nie wiemy na jakich materiałach opiera się Jan K., opisując powyższą sprawę; na jakiej podstawie twierdzi, że cztery osoby zmówiły się, by złożyć fałszywe zeznania. Ustalenie takiej zmywy jest przecież rzeczą niezwykle trudną. Wątpliwości takie nasuują się każdemu sceptykowi. Poza tym trudno uwierzyć, by sąd skazał sprzedawcę, jeśli ten udowodnił bezpodstawnosć stawianego mu zarzutu.

Chociaż przykład podany przez naszego korespondenta nie wydaje się być trafny, jednak Jego list porusza niezwykle istotny i aktualny problem składania fałszywych zeznań. Jest to zjawisko częste. Dlaczego? Zamiast odpowiedzi — dwa przykłady.

Chociaż przykład podany przez naszego korespondenta nie wydaje się być trafny, jednak Jego list porusza niezwykle istotny i aktualny problem składania fałszywych zeznań. Jest to zjawisko częste. Dlaczego? Zamiast odpowiedzi — dwa przykłady.

Chociaż przykład podany przez naszego korespondenta nie wydaje się być trafny, jednak Jego list porusza niezwykle istotny i aktualny problem składania fałszywych zeznań. Jest to zjawisko częste. Dlaczego? Zamiast odpowiedzi — dwa przykłady.

Dokończenie na str. 2

35 lat „Roman-Gaziety”

Wydawnictwo moskiewskie „Roman-Gaziety” istnieje już 35 lat. Myśl o powołaniu taniego i masowego wydawnictwa rzucił W. I. Lenin w 1921 roku, zwracając uwagę na przykład Francji, gdzie jeszcze przed I wojną światową zaczęto wydawać powieści dla ludu, nie w wydaniu luksusowym, lecz po 10 centimów, w postaci popularnej gazety.

Duet

Zdjęcie
KAZIMIERZA
PRZYCHODZKIEGO



MICHAŁ ŁUCZAK

Fałszywi świadkowie

▲ Podczas procesu Henryka G., oskarżonego o bratobójstwo jeden ze świadków stwierdził „boję się składać prawdziwe zeznania, bo przed wejściem na salę rozpraw członkowie rodziny oskarżonego zapowiedzieli, że jak będę za dużo mówić to się ze mną policzą”.

▲ Kiedy toczył się proces o nadużycia w Poznańskich Restauracjach Dworcowych „Wars” (obecnie „Orbis”) wielu świadków albo nabierało wody w usta, albo też odwoływało zeznania złożone w śledztwie (zeznania te mocno obciążały oskarżonych). Ludziom zamykały usta złe pojęta solidarność zawodowa, w niektórych przypadkach — nieczyste sumienie, no i strach. W „Warsie” obowiązywała szczególna polityka kadrowa. Jej cechą było piętnowanie tych wszystkich, którzy odważyli się demaskować zło. Ludzie uczyli, krytykując niewłaściwą atmosferę w „Warsie” otrzymywali etykiety „rozrabiaczy” i „histeryków” oraz wypowiedzenie pracy zaś kanciarze członkowie kliki — awansowali. Nawet wówczas, gdy prokurator sporządził przeciwko nim akt oskarżenia.

Fakty podane w obu typowych przykładach niedwuznacznie odpowiadają chyba na pytanie „dlaczego ludzie składają nieprawdziwe zeznania?” i dlatego te przyczyny bywają silniejsze od obawy narażenia się na karę więzienia (do lat 5) grożąca za fałszywe zeznania. I ludzie kłamią choć przed chwilą mówili „Świadomy wagi moich słów i odpowiedzialności przed prawem przyrzekam uroczyście, że będę mówił szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego co jest mi wiadome”.

W niektórych środowiskach panuje pogląd, że gdyby w miejsce cytowanego uroczystego przyrzeczenia wprowadzić przysięgę z powołaniem się na Boga, mniej byłoby kłamliwych zeznań. „Ludzie mówią — pisze p. Jan K. — że przed wojną rzadko zdarzały się fałszywe zeznania...”

Obiektywnie trzeba stwierdzić, że składanie fałszywych zeznań jest zjawiskiem niemal tak starą jak świat. Fredro w „Zemście” z ironią skonstatował: „Nie brak świadków na tym świecie”. Zdaniem doświadczonych prawników, nie ma naukowych podstaw (luki statystyczne) do wysuwania tezy, że problem ten jest obecnie bardziej nabrzmiały niż kiedykolwiek. Nawet statystyka nie zdolałaby w pełni odzwierciedlić jakichś tendencji tego zjawiska.

Zmiany w obrazie statystycznym mogłyby się tu przecież wiązać z polityką kryminalną, z niewymierzaniem, czy wymierzaniem w pewnych okresach najsurowszych kar przewidzianych za fałszywe zeznania. (Na marginesie: obecnie przestępstwo to jest karane raczej łagodnie, co z pewnością jest niesłuszne.)

Twierdzenia naszego Czytelnika co do „skuteczności” przysięgi trzeba uznać za wywód raczej abstrakcyjny. Trudno założyć, by przysięga z powołaniem się na Boga była bardziej „niezawodna” niż obowiązująca forma przyrzeczenia.

Religia nie stanowi przecież niezawodnego panaceum np. na trwałość związków małżeńskich (ludzie rozchodzą się mimo składanej na krzyż przysięgi i uroczystego ślubowania „nie opuścić cię aż do śmierci”) ani na przestępstwa. Można tu nawet mówić o jakiejś mocno niepokojącej „elastyczności”, która sprawia, że przykazania „nie kradnij” niektórzy ludzie odnoszą tylko do własności prywatnej.

Trudno byłoby uzasadnić celowość instytucji religijnej przysięgi w sądzie. Są natomiast ważne argumenty przemawiające przeciwko. Jak było przed wojną? Sędzia musiał formalnie dochodzić jakiegoś wyznania jest świadka. W zależności od tego odbierał bowiem przyrzeczenie lub przysięgę. Jedni przysięgali na krzyż, drudzy na koran (mahometanie), inni na Stary Testament. Baptysty, menonici, adwentyści dnia siódmego — którym wyznanie nie pozwalało przysięgać, składali przyrzeczenie zawierające elementy religijne. Wreszcie przyrzeczenie świeckie, przetransformowane było dla niewierzących. Czyż nie lepiej stosować jednolite rozwiązanie — przyrzeczenie dla wszystkich? Jest ono przecież realizacją słusznej zasady wolności sumienia i wyznania, zasady stanowiącej, że religia jest wyłącznie prywatną sprawą każdego człowieka. Nasze rozwiązywanie nie stanowi jakiegos wyjątku, podobnie jest w innych krajach.

Wydaje się, że niezależnie od wyznania każdy człowiek o wysokim poziomie etycznym będzie uznawał świeckie przyrzeczenie za dostatecznie obowiązujące do mówienia prawdy. Tu chyba należy dopatrywać się sedna sprawy. Sprawy trudnej do rozwiązania, które może następować stopniowo w miarę podnoszenia się poziomu rozwoju kulturalnego społeczeństwa, przekształcania jego świadomości i rozwijania się nowych form społecznych współżycia.

W okresie 35 lat istnienia „Roman-Gaziety” wydała przeszło 500 utworów autorów rosyjskich, radzieckich i zagranicznych. Nakład, który początkowo wynosił 50 tysięcy egzemplarzy, wzrósł obecnie do 700 tysięcy. „Roman-Gaziety” otrzymują czytelnicy w 70 krajach na całym świecie.

W 1962 roku wydawnictwo opublikowało na swych łamach 19 utworów pisarzy radzieckich i zagranicznych. Ukazały się w nim między innymi nowe powieści Fiedina, Sielmach, Granina, Cz. Ajmatowa.

Kabarety Poznania

W poprzednim wydaniu „Głosu Tygodnia” zamieściliśmy wspomnienia Tadeusza Henryka Nowaka o poznajskich kabaretach literackich. Dziś ogłaszamy zakończenie tego artykułu. Przypominamy, że wspomnienia te stanowią wielki skrót obszernej pracy przygotowywanej przez autora do wydania książkowego.

Po śmierci Klubu Szyderców pod „Kaktusem” powstała niedługa przerwa. Znowu Ludwik Puget usadowił się w kawiarni, tym razem przy placu Wolności u Stanisława Józwiaka. I tam też była „Kukułka”. Zdziwiasz się, że Imię Puget recytował swe fraszki, nie wyjmując nieodłącznej fajki z gęby, nie niwecząc przy tym dykcji.

„Kukułka” Pugeta w lokalu kawiarni przy placu Wolności była kabaretem umuzykalionym. Piosenka wiodła prym; Jerzy Gerzabek siedział do pianina i akompaniując sobie, śpiewał:

„Ja mam już dosyć swojej żony!”
Ja jestem skromny i cichutki,
Ja nie mam żadne inne smutki...
Pij pan przez szesć lat ten sam płyn...
Ja się buntuję, ja się nie dam.
Mnie się już z tego płakać chce.
Ona jest taki tran sercowy
Go się nie lubi, a się je.
Tylko od tranu jest pan zdrowy,
A od niej, to cholera wie...”

Ten kabaret też diabli wzięli.

Ale oto — rok 1933 — A. M. S. (czytaj Artur Maria Swinarski) organizuje jeszcze jedno ptaszyno, jeszcze jedną „Kukułkę” — tym razem „Różową”, w dzisiejszej palarni przy gmachu Opery Poznańskiej. Nie powiem, żeby mi się tam najgorzej wiodło, bowiem moja ballada, którą dla tego kabaretu napisałem, cieszyła się powodzeniem. Przepraszam, że nieco o sobie...

Przeminęła okupacja hitlerowska; zniszczony Poznań z trudem się dźwiga, a już cygany nad cygany walają się nad Warte, i dalej...

Kabaret znowu spod znaku ptaka, znowu „Kukułka”. Rok 1945/46. Dzisiaj nabywamy w tych pomieszczeniach różne delikatesy, ale wtedy na piętrze obecnych „Delikatessów” rozbił swe namioty pierwszy powojenny kabaret naszego miasta. „Sprawcami” byli Stefan Sojecki (aktor i satyryk), Roman Kołoniecki (poeta i tłumacz Flauberta w szczególności).

Scenka gościła i cieszyła się takimi — każdy w swoim rodzaju — cyganami jak Jerzy Młodziejowski, Stefan Drewicz, Bogdan Paluszkiwicz, Stanisław Strugarek, Roman Kołoniecki, Stefan Sojecki — spiritus movens tej sceny, i piszący te słowa.

A świetne wieczory kabaretu z Hanką Skarżanką, a teksty autorskie „Białych żagli”, Wandy Karczewskiej; znowu kabaret z prawdziwego zdarzenia, i znowu naturalna śmierć kabaretowa.

Gdy w parę lat później powstał w Poznaniu Klub Kultury przy ulicy

Kantaka, znowu nęciło, a z mrzonek — powstały „Koziołki”. Ten kabaret z góry był skazany na zagładę. Jak tu gospodarzyć, skoro tylko 98 miejsc. Teksty, oprawa...?

Ileż tam wyczytał Henryk Derwich, jaką oprawę sceniczną dała Danuta Cholewicka - Derwichowa. Teksty: Witolda Deglera, Juliusza Chodackiego, Juliana Mikołajczyka, Włodzimierza Scisłowskiego i kronikarza, który na tych łamach sprawy te notuje.

Bezkrolowie satyry długo nie trwało. Do opustoszałego gniazda wprowadziła się niemniej delikatosa „drużyna” roześmiana, szydercza, umuzykaliona, uplastyczniona, rozśpiewana „Maska”. Do czerwca 1947 roku bawiliśmy się wspólnie przy zawsze pełnej widowni. „Siłami napędowymi” byli Zenon Laurentowski — (teraz aktor warszawskich scen dramatycznych) i Kazimierz Tomsza (obecnie Operetka Poznańska). Niemalą podporą (muzyczną) był prof. Marian Weigt, wykonawcą tekstów Mieczysław Serwiński (aktor) i tenor (wówczas jeszcze przed pierwszym występem w Operze Poznańskiej) — Józef Prządka. O oprawy muzyczno-wokalne dbał również prof. dr Sitowski — kompozytor i muzykolog oraz Wiktor Buchwald. Ale te dostojne profesorki i doktorowane postacie pracowały w „Masce” bez togi. Brykały na równi z nami, zacierały ręce, gdy poeta „wysła”, albo piosenka „chwyciła”. Ba, gościliśmy Ludwika Sempolińskiego, humorystę Jana Mrowińskiego, krakowski zespół „Do-Re-Mi”, słowem tych, co sroce spod ogona nie wylecieli.

Akcenty scenograficzne „Maski” to ucziwa, artystyczna robota niezjącego Witolda Gawęckiego, dalej znanego karykaturzysty NOT’a (Tadeusz Nowicki) i Kazimierza Tomszy, również autora wielu celnych tekstów.

Aż jednego dnia ujrzał światło dzienne kabaret-efemeryda (autor nazwy Henryk Derwich) — „Don Chichot”. Kabaret ten żył dwie, czy może trzy godziny. Skądinąd przyjemna kawiarnia W - Z w Poznaniu, okazała się, i to w okresie Międzynarodowych Targów Poznańskich nie najlepszym miejscem dla literackiego kabaretu.

Ma Poznań w swych annałach zapiski o literackich scenach? Ma. I będzie miał, bowiem tak duże mia sto z ogromnym środowiskiem inteligencji, młodzieży studiującej nie może nie mieć „katedry kpiny”, która niejednokrotnie prostuje skrzywione drogi, naprowadza na właściwe szlaki, a sztydzą — wychowuje.

na premię należną widocznym rodzicom — może za straty moralne, poniesione z racji posiadania złego dziecka? (...) Absurdem jest oczywiście stworzenie alternatywy — dom albo prawie bezpłatny zakład wychowawczy”.

Autorka postuluje utworzenie pełnopłatnych internatów. Zwolnione w ten sposób fundusze pozwoliłyby stworzyć lepsze warunki dzieciom istotnie potrzebującym i moralnej i materialnej opieki. Do zakładów wychowawczych trafiają bowiem często dzieci, których rodzice lub rodzina mogliby być na ich utrzymanie. Premia dla złych rodziców jest również niesprawiedliwa, co szkodliwa.

Wspomnienie o Poli Gojowiczynskiej

W „Nowej Kulturze” Lesław M. Bartelski pisze o zmarłej niedawno pisarce polskiej, Poli Gojowiczynskiej.

„Prawdziwą miłością Gojowiczynskiej, miłością pisarską, była Warszawa (...) Wielkomięskiej Warszawie przeciwstawiła mało-efektowną Warszawę rzemieślniczych przedmiotów, „tu była ojczyzna, zanim się dostrzeżło i uznało wielką ojczyznę w historii; tu była ojczyzna, dzielnica warsztatów stolarskich i tokarni żydowskich. Drzewo, drzewo, pachnące deski, góry wiórów i trocin z obfitością pecheł o każdej porze roku”. Ta przedwojenna, a tak sławiona dziś Warszawa stanowiła miasto kwitnące egzotyką, mia sto, którego nie ma...”

Konkurs na reportaże i eseje
„Przegląd Kulturowy” ogłosił konkurs organizowany wspólnie z wydawnictwami „Czytelnik” i „Iskry” na reportaże i eseje związane z XX-leciem PRL. W dziedzinie reportażu chodzi o teksty mówiące o wydarzeniach dziejących się aktualnie lecz posiadających swe korzenie w dwudziestoletnim dorobku naszego państwa lub też obrazujących fakty historyczne współcześnie aktualne. Eseje mogą zawierać tematykę historyczną, socjologiczną czy filozoficzną. Mogą być poświęcone zagadnieniom estetyki lub kultury i sztuki socjalistycznej.

Co robi reżyser gdy nic nie robi?

Pytam reżysera Andrzeja Wajdę:

— Co pan teraz robi?

— Nic.

— A co robi reżyser, gdy nic nie robi?

— Najwięcej.

— ?

— Szukanie pomysłu, a potem, gdy się już go znajdzie, przeprowadzenie przez rozliczne sita wszelakich recenzji, komisji, decyzji to wielka praca, niech mi pani wierzy! Sama konkretna robota filmu to już tylko końcowa przyjemność. I stosunkowo krótka.

— Ale trzeba ją umieć robić.

— To prawda. A z drugiej strony, wie pani, gdy wykladałem w Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi, nie mogłem wyjść z podziwu, jak ci młodzi chłopcy szybko wciągają się w samą technologię roboty filmowej, jak nabywają szybko swobody w posługiwaniu się warsztatem.

— Nie myśli pan, że to sprawa epoki?

— Oczywiście. Dawniej do ogólnego wykształcenia trzeba było umieć zagrać kilka kawałków na fortepianie, napisać sentymentalny wiersz; a dziś, trzeba się znać na kinie. Młodzież jest nie byle jakim znawcą w tej dziedzinie. Toteż młodym adeptom sztuki reżyserskiej stosunkowo łatwo przychodzi zrobienie całkiem udanego filmu pod względem formalnym.

— Pod względem formalnym. Ale to przecież nie wszystko?

— Tak. Trzeba mieć jeszcze coś do powiedzenia. Zasadniczo każde autentyczne, prawdziwe przeżycie ludzkie może być dobrym tworzywem dla filmowca. Dlatego też szukam autentyków.

ROZMOWA Z ANDRZEJEM WAJDĄ

— Czy widział pan to? — pytam, wyciągając ostatni numer „Polityki”. Jest tu fragment pamiętnika inżyniera.

— Nie. Ale, proszę, niech mi pani to pokaże. Nigdy nie wiadomo. Może to właśnie to, czego szukam.

— Co z ostatnich pana prac zobaczymy na ekranie?

— Film, który kręciłem w Jugosławii. „Syberyjską Lady Macbeth”. Jest to opowiadanie Leskova, z którego Szostakowicz zrobił operę, a ja pokusiłem się przenieść na ekran.

— I występuje tam rzeczywiście kobieta, którą ambicja pcha do zbrodni?

— Jak najbardziej. Taka Lady Macbeth z małego miasteczka.

— A więc jednak tu oparł się pan na literaturze.

— To była konieczność. Bez gruntownej znajomości kraju, ludzi, obyczajów, realiów, reżyser nie powinien sięgać do współczesnych autentyków.

— Zadam panu stereotypowe pytanie: Czy od młodości chciał pan zostać reżyserem?

— Nie. Chciałem zostać malarzem. Studiowałem malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych. Reżyseria to trochę dzieło przypadku. To mój zawód, ale malarstwo, choć go praktycznie nie uprawiam, jest nadal moim umiłowaniem.

— Czy mógłby pan odejść od reżyserii?

— Chyba tak. Zna pani może opowiadanie Conrada „Smuga cienia”? Jest tam obraz człowieka, który naraz z chłopca staje się mężczyzną. Otóż, jest też moment w życiu człowieka, kiedy mężczyzna staje się... no, powiedzmy, dojrzałym mężczyzną. I wtedy wszelkie ambicje zawodowe i niezawodowe stają się nagle mniej ważne, już nie tak istotne. Chodzi mi po głowie taki właśnie pomysł filmowy. Taka przemiana człowieka. Takie nagle zrozumienie. Mogłoby się to, na przykład, zdarzyć na polowaniu. No, ale nie będę pani zdradzał pomysłu...

Rozmawiała:

EWA BERBERYUSZ

CHLEB

Dokończenie ze str. 1

szaleń szaleń papieru. Poruszyła opaloną łokciem przedramieniem, mięśnie pracowały pod skórą, trwał rytuał wydobywania czegoś, oczekiwałem skutku już z zainteresowaniem, zapytałem siebie: co też wyjmie? Niecierpliwie się, nie widziałem z powrotem dłoni, jedynie czarodziejski kulerek, podreżny, wiejski koszyk, którego po wsiach tutaj nie widywałem, przedmiot widziany po raz pierwszy od mojego chłopstwa.

Wyciągnęła pominiętą gazetę, manewrując przy zamykaniu schowku, wypuściła z zmuszanej dłoni papier na podłogę wagonu, brudną przecież, zachodzącą, najpluśniętą miejsc PKP, wypadły zeń czarne cegielki. Błyskawicznie schyliłem się, jakbym przez skłon głowy pragnął oddać hołd królującą bieli, przelanej delikatną błyskawicą barw. Zaczęłam zbierać. Cicho powiedziałam: „Nie trzeba” — wiedziałam: trzeba! Chwytałem w palce, kładłem do drugiej dłoni uformowanej w dołek; od gwałtownego ruchu strzyknęło mi w krzyżu, krew z powrotem napłynęła pod czaszkę, komiśne buty chłopki porzuciły; orbiły oczu, czulem, nabierały kragłości, nie podnosiłem głowy; wzrok zaczął szaleć. Bałem się. Stra-

chem, którego przyczyna dopiero się wynurzy. Na razie nie mogłem przezwyciężyć, nabrałem już pełną rękę czarno-brązowych kostek, a kiedy się wszytko od nowa zaczęło, wiem, dzisiaj szczególnie dobrze, i wiedzieć będę zawsze, iż zawińnię sam, muszę więc ponieść odpowiedzialność za plomienie opalający jakkolwiek (jeśli nad tym pomyślimy spokojnie, to ten punkt widzenia narzuca się podobnie mocno, jak odnośnie do innych sytuacji wiele równie nowych a podniesionych w tej nieskładnej opowieści, choć nie przeżywanym wcześniej) jakkolwiek — powtarzam — nie ja rozpalęłam plomienia i nie ja miałem wpływ na jego siłę. Całkiem zwyczajnie, kiedy kończył zbieranie, wiedziałam, że z kosza wypadły kawałki chleba; musiała nie mieć zębów, w moich stronach starzy chłopcy krążyli „koziemi” komiśną kromę, czarną jak ziemią, jakby z dawna przywykali do grobu; pustawym działostom ułatwiali w ten sposób pracę. Zrobiła tak w domu, a może zapobiegliwie wyręczyła ją córka, teraz obdmuchiwała te kawałki z brudu zachodzonego linoleum, kła-

dła z powrotem w gazetę, ja zaś zdziwiony czarnością mięskuski oraz dobrze spieczoną skórki, nie oddałem jej ostatniego kawałka, też obdmuchiwałem z pyłu, przyłożyłem do ust. Kobieta nie miała, traciłem świadomość, dostrzegłem jeszcze poruszenie jej oczu, pewnie dziękowała takimi znakami za pomoc, i tak: trzymając pod nosem grudek wiejskiego razowca z żyniowego ciasta zaczynionego na kwasie — podobnych chlebowców dzisiaj się nigdzie nie spożywa, nawet w zapadłych wsiach mego morderczego powiatu — przypominając sobie szczegóły wypieku (największy sekret to kwas, potrzebny też jest piec dobrze wygrzany drzewem i wygarnięty z węgla do czyscia), czując pod palcami palców miękkość wonnego jądra wrociłem. Przywiódł zapach. Chleba. Jedzonego ze smakiem wkrótce po powrotnym przejściu granicy. Wtedy nie mogłem, po tylu przecież latach, przełknąć czarnej grudy, wzruszenie wypychało z gardła przeżuty kęs. Wracając zalełem do siebie, od czego, a raczej od kogo, mam w końcu i powód, i prawo się odciąć.

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Poza Warszawą

I pomyśleć, że byli kiedyś tacy, którzy z powątpiewaniem wyrażali się o szansach rozwojowych wydawnictwa twórców w ośrodkach pozawarszawskich! Tymczasem właśnie dzięki tym oficyom okazać się mogło wiele książek szczególnie cennych i wartościowych.

Wydawnictwo Morskie opuszcza już coraz to nowe pozycje, stanowiące pokłosie konkursu na powieść o ziemi bydgoskiej. „Strzała z diabelskiego herbu” Bogusława Sujkowskiego, to z pewnością, panorama

ską dołą żołnierską w formacjach zachodnich. Jak zawsze u tego pisarza, dominuje zaangażowanie emocjonalne, częstob nawet z umiarem dła strony formalnej utworu. Do spraw najściślej współczesnych pragnie natomiast dotrzeć Tadeusz Petrykowski w tomiku opowiadań „Karolinka”, zaciękawiających unikiwnością psychologiczną w ukazywaniu zwykłego świata zwykłych ludzi.

Wizytową pozycją wiosenną Wydawnictwa Poznańskiego jest pięknie wydany tom opowiadań Johna Galsworthy’ego „Karawana”. Poza paru tekstami z „apokryficznych opowieści o Forsyteach”, pozostałe utwory są na

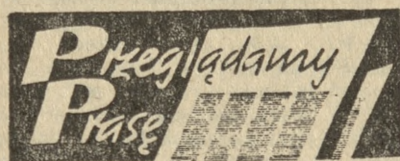
naszym gruncie w ogóle nieznane i dopiero „Karawana” ukazuje

Z KSIĄŻKA NA TY

sporym wyborze twórczość nowelistyczną wielkiego epika, twórczość zaskakującą tutaj akcentami ściśle psychologicznymi i moralizatorskimi. Wznosiło też Wyd. Poznańskie uroczyste, jakże typowe w nastroju skandynawskiej literatury tom Björnsterne Björnsona — „Dziewczę ze słonecznego wzgórza” i „Marsz weselny”.

Jest i nieco nowości „Ossolineum”. Ukazała się część III „Publicystyki” Gabrieli Zapołskiej, gdzie i w tej dyscyplinie autorka ukazuje prawdziwie lwi pazur. Jakże wiele tam świetnie do dziś pasujących aktualności. Swoistą rewelacją będzie dla niektórych nowa praca Samuela Fiszmana „Archiwalia Mickiewicza”, wyciąg z odnalezionych w archiwach Moskwy, Leningradu i Wilna „mickiewiczianów”, poszerzających wiedzę o poecie i jego epoce. Spod pióra Hanny Szelest wydano studium „Marcjalis i jego twórczość” o wybitnym poecie rzymskim epiki cesarstwa, klasyku epigramu, bez znajomości którego trudno by wnikać w ducha poezji rzymskiej.

LEKTOR



Spójrzmy na zegarki

Tygodnik „Polityka” kontynuuje akcję walki z marnotrawstwem czasu. Kolejną pozycją z cyklu „Spójrzmy na zegarki!” jest artykuł Barbary W. Olshewskiej pt. „Złodzieje czasu”. Autorka odpowiedziała sześciu dyrektorów dużych zakładów przemysłowych, pytając jak dzielą swój czas. Przeciętnie 60% dnia pracy przeznaczają na sprawy bieżące. Oto wrażenia jednego z dyrektorów:

„Telefon. Z NOT-u. — „Przypominamy, dziś o 17 w naszym klubie kolejna prelekcja (...) Obecność obowiązkowa” — „O 17 — przypomnia sekretarka — ma pan dyrektor także posiedzenie wydziałowej komisji ochrony pracy”. — „Nie rodujcie się”. (...) Ta jutrzejsza rada siedzi mi jak przysłowiowy gwóźdź w mózgu, a nie jeszcze konkretnego nie napisałem (...) Narady miesięczne — zakładowa komisja ochrony pracy, (to właśnie dziś), wydziałowa komisja ochrony pracy, wydziałowa narada wytwórcza (będzie pojutrze), zebranie oddziałowej organizacji partyjnej (było wczoraj) ZMS-u i Ligi Kobiet”.

Narady, szkolenia, konferencje, spotkania, zebrania, posiedzenia itp., itd. — największa zmora dyrektorów, którzy nie mają czasu na myślenie koncepcyjne i perspektywiczne.

Złym wychowawcom — premia

Tak brzmi tytuł artykułu Krystyny Gołańskiej w „Tygodniku Demokratycznym”. Autorka pisze o finansowej stronie pobytu dzieci w zakładach wychowawczych. Dwa tysiące złotych miesięcznie kosztuje państwo jedno dziecko w zakładzie wychowawczym.

„Jeżeli rodzice dziecka pracują, to potracą im się miesięcznie 385 złotych. Nadwyżka 1615 zł wygląda na czysty zysk,